

**BUSZUJĄCY  
W  
ZBOŻU**

**J . D . S A L I N G E R**

# 1

Jeśli rzeczywiście interesuje was ta historia, najpierw pewnie chcielibyście usłyszeć, gdzie się urodziłem, jak spędziłem zaszrane dzieciństwo, czym zajmowali się moi rodzice, zanim sobie mnie zafundowali, i wszystkie te bzdety jak z *Dawida Copperfielda*, ale — uprzedzam z góry — nie mam zamiaru się w to wdawać. Po pierwsze nudzą mnie takie opowieści, a po drugie starzy dostaliby szału, gdybym powiedział coś o ich sprawach osobistych. Są na tym punkcie trochę drażliwi, zwłaszcza ojciec. Porządni z nich ludzie i tak dalej — nie powiem — ale strasznie drażliwi. Poza tym to nie ma być żadna cholerna autobiografia ani nic z tych rzeczy. Po prostu opowiem wam zwariowaną historię, która przydarzyła mi się w okolicach zeszłego Bożego Narodzenia, zanim tak się załatwiłem, że wysłali mnie tutaj. Opowiedziałem ją wcześniej tylko D.B., a to mój brat, no wiecie. Siedzi w Hollywood.

To nie tak daleko od tej dziury, więc wpada tu do mnie praktycznie w każdy weekend. Odwiezie mnie do domu, kiedy stąd wyjdę, może już w przyszłym miesiącu. Właśnie kupił sobie jaguara. To jeden z tych angielskich wózków, z których można wycisnąć nawet dwieście mil na godzinę. Kosztował prawie cztery tysiące dolarów. Ale D.B. ma teraz kupę forsy. Nie zawsze tak mu się powodziło. Gdy jeszcze mieszkał z nami, pisał książki, autentycznie. Napisał genialny zbiór opowiadań, *Sekret złotej rybki*, gdybyście nie wiedzieli. Najlepsze było właśnie to tytułowe. O takim gówniarzu, który nie pozwalał nikomu patrzeć na swoją złotą rybkę, bo kupił ją za własne pieniądze. Zwaliło mnie z nóg. A teraz D.B. siedzi w Hollywood i rozmienia się na drobne. Jeśli czegoś naprawdę nie znoszę, to kina. Nawet nie wspominajcie przy mnie o nim.

Zacznę od dnia, w którym wyniosłem się z Pencey. To prywatne liceum w Agerstown, w Pensylwanii. Pewnie o nim słyszeliście. A w każdym razie widzieliście jego reklamy. Bo ogłasza się chyba we wszystkich czasopismach, na reklamach zawsze pokazują takiego buca, który skacze na koniu przez płot. Jakby w Pencey nic innego się nie robiło, tylko bez przerwy grało w polo. Konia to tam nie widziałem w promieniu paru mil. A pod ilustracją zawsze widnieje hasło: „Od 1888 roku dokładamy starań, żeby nasi wychowankowie wyrastali na wspaniałych, myślących ludzi”. Sraty-taty. Dokładają w Pencey tych starań nie bardziej niż w każdym innym liceum. I nie

znam tam nikogo wspaniałego ani myślącego. No, może ze dwóch gości. Jeśli w ogóle. A i ci najpewniej już tacy do Pencey przyjechali.

Nieważne; więc była sobota, dzień meczu piłkarskiego z Saxon Hall. Zrobiło się z tego wielkie halo w Pencey i okolicy. Ostatnia rozgrywka w roku; w razie przegranej Pencey chyba trzeba by się pochlastać. Pamiętam, że gdzieś o trzeciej po południu stałem na samym szczycie Thomsen Hill, obok tego obłądnego działu z czasów rewolucji amerykańskiej. Miałem stamtąd widok na całe boisko i obie drużyny, ganiające od bramki do bramki. Trybuny były wprawdzie poza zasięgiem wzroku, ale słyszałem wrzaski publiczności — dzikie wycia po stronie Pencey, bo praktycznie, oprócz mnie, siedziała tam cała nasza szkoła, i wątle okrzyki po stronie Saxon Hall, bo drużyna gości rzadko kiedy przywoziła więcej niż paru kibiców.

Na meczach piłkarskich nigdy nie bywa zbyt wiele dziewczyn. Wolno je przyprowadzać tylko czwartoklasistom. To była naprawdę beznadziejna szkoła, słowo daję. Lubię od czasu do czasu zawiesić oko na panience, nawet jeśli się drapie, wydmuchuje nos czy z czegoś chichocze. Dość często na mecze przychodziła Selma Thurmer — córka dyrektora — ale nie jest to laska, która wzbudzałaby dzikie pożądanie. Chociaż całkiem miła z niej dziewczyna. Siedziałem kiedyś koło niej w autobusie z Agerstown i nawet sobie pogadaliśmy. Polubiłem ją. Miała wielki nos, aż do krwi obgryzione paznokcie i nosiła sztuczne

cycki, z tych, co sterczą to tu, to tam. Ale jakoś budziła we mnie współczucie. Podobało mi się w niej, że nie wstawiała kitu, jaki to z jej ojca równy gość. Pewnie dobrze wiedziała, że to żałosny bufon.

Znalazłem się na Thomsen Hill zamiast tam w dole, na trybunach, bo właśnie wróciłem z Nowego Jorku z drużyną szermierki. Byłem kapitanem tej przeklętej drużyny. Wielkie rzeczy! Przed południem pojechaliśmy do Nowego Jorku na turniej szermierczy z chłopakami z McBurney School. Tylko że spotkanie się nie odbyło. Zostawiłem florety i cały sprzęt w tym cholernym metrze. Ale nie poczuwam się tak całkiem do winy. Musiałem co chwila patrzeć na schemat linii, żebyśmy wysiedli, gdzie trzeba. Wróciliśmy więc do Pencey koło wpół do trzeciej zamiast w porze kolacji. Nikt z drużyny nie odzywał się do mnie w pociągu przez całą drogę powrotną. W sumie to nawet niezły ubaw.

Nie siedziałem na meczu, bo szedłem pożegnać się ze starszym Spencerem, moim nauczycielem historii. Miał grypę i pomyślałem, że nie zobaczę się już z nim przed feriami świątecznymi. Przysłał mi list, że chciałby się ze mną spotkać, zanim wyjadę do domu. Wiedział, że nie wrócę już do Pencey.

Zapomniałem wam powiedzieć. Wylali mnie. Miałem nie wracać po Bożym Narodzeniu, bo oblałem cztery przedmioty, Leserowałem i w ogóle. Ostrzegano mnie, żebym zaczął się przykładać — szczególnie jakoś w połowie semestru, kiedy moi starzy przyjechali na wywia-

dówkę do starego Thurmera — ale nic z tego. No i w końcu mnie wylali. Z Pencey co rusz ktoś wylatuje. Dbają tu o poziom. Trzeba przyznać.

Tak czy siak, był grudzień, zimno się zrobiło jak diabli, zwłaszcza na tym głupim wzgórzu. Miałem na sobie tylko jesienny płaszcz, byłem bez rękawiczek i w ogóle. Przed tygodniem ktoś świsnął mi z pokoju płaszcz z wielbłądziej wełny razem z futrzanymi rękawiczkami, które były w kieszeni. W Pencey nie brakowało łobuzów. Większość chłopaków pochodziło z bardzo bogatych rodzin, a mimo to złodziejstwo kwitło. Im droższa szkoła, tym więcej w niej łobuzów — serio. W każdym razie sterczałem przy tej armacie i oglądałem mecz, odmrażając sobie tyłek. W gruncie rzeczy gra niewiele mnie interesowała. Tkwiłem tam, bo chciałem się w jakiś sposób pożegnać. Opuszczałem już różne szkoły czy inne miejsca i nawet nie czułem, że się z nimi rozstaję. A nie cierpię czegoś takiego. Nieważne, czy pożegnanie jest miłe, czy niemiłe — kiedy skądś wyjeżdżam, chciałbym wiedzieć, czy wyjeżdżam na zawsze, czy nie. Człowiek czuje się jeszcze gorzej, jeśli tego nie wie.

Miałem jednak fart. Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie coś, co uzmysłowiło mi, że wybywam stąd na dobre. Staął mi przed oczami dzień, kiedy jakoś w październiku z Robertem Tichenerem i Paulem Campbellem kopaliśmy piłkę przed budynkiem szkoły. To byli porządni goście, zwłaszcza Tichener. Zbliżała się pora kolacji i zapadał zmrok, a my wciąż graliśmy. Ściemniało się

coraz bardziej i już prawie nie widzieliśmy piłki, ale nie chcieliśmy przerywać. W końcu nie mieliśmy wyboru. Facet od biologii, pan Zambesi, wystawił głowę przez okno i kazał nam wracać do internatu, żeby przygotować się do kolacji. Gdybym za każdym razem umiał przypomnieć sobie coś w tym rodzaju, mógłbym żegnać się jak trzeba, kiedy tylko przyjdzie pora — na szczęście, przeważnie mi się to udaje. Gdy już miałem sprawę z głowy, obróciłem się i popędziłem przeciwnym stokiem wzgórze w stronę domu starego Spencera. Spencer nie mieszkał na terenie kampusu, tylko w alei Anthony'ego Wayne'a.

Biegłem przez całą drogę, aż do głównej bramy, a potem zatrzymałem się na chwilę, żeby złapać oddech. Kondycję mam do bani, jeśli chcecie wiedzieć. Po pierwsze dużo palę — to znaczy, paliłem. Zmusili mnie, żebym rzucił. A po drugie od zeszłego roku urosłem sześć i pół cala. Przez to złapałem gruźlicę i przyjechałem tu na te cholerne badania, kurację i tak dalej. Ale już jestem całkiem zdrowy.

No więc, kiedy odzyskałem oddech, puściłem się pędem przez trasę numer 204. Było ślisko jak diabli i niemal się wychrzaniłem. Nawet nie wiem, dlaczego tak gnałem — chyba po prostu wzięła mnie na to ochota. Po przebiegnięciu na drugą stronę drogi miałem wrażenie, jakbym zniknął. Było to jedno z tych niesamowitych popołudni, ziąb jak cholera, zero słońca, no wiecie, i człowiekowi się wydawało, że zniknął za każdym razem, gdy przechodził przez jakąś ulicę.

O rany, kiedy już znalazłem się pod domem Spencera, zadzwoniłem do drzwi, jakby się paliło. Naprawdę byłem zziębnięty. Uszy mnie piekły i ledwie mogłem poruszać palcami, tak mi zgrabiały z zimna. „No, szybciej — powiedziałem niemal na głos — niech ktoś wpuści mnie do środka!”. Wreszcie otworzyła mi pani Spencer. Nie mieli tam pokojówki ani nikogo do pomocy i zawsze sami podchodzili do drzwi, gdy ktoś dzwonił. Nie powodziło im się zbyt dobrze.

— Holden! — powiedziała pani Spencer. — Jak miło cię widzieć! Wejdz, mój drogi. Pewnie przemarzłeś na śmierć! — Chyba naprawdę ucieszyła się na mój widok. Lubiła mnie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Jednym susem znalazłem się za drzwiami.

— Dzień dobry — przywitałem się. — Jak się ma pan Spencer?

— Pozwól, że wezmę twój płaszcz, chłopcze — powiedziała. Nie słyszała, jak pytałem o Spencera. Była trochę przygłucha.

Powiesiła mój płaszcz w szafie, a ja tymczasem przecesałem palcami włosy. Jestem ostrzyżony na jeża i właściwie nie muszę używać grzebienia.

— Co słyhać, pani Spencer? — spytałem znowu, tym razem głośniej, żeby usłyszała.

— Wszystko dobrze, Holdenie. — Zamknęła drzwi szafy. — A jak ty się miewasz?

Z intonacji tego pytania domyśliłem się, że Spencer powiedział jej o końcu mojej kariery w Pencey.



— Nieźle — odparłem. — Jak się czuje pan Spencer?  
Już po grypie?

— Po grypie! Holdenie, ten człowiek zachowuje się jak kompletny... no sama nie wiem... Jest u siebie, mój drogi. Możesz do niego pójść.

## 2

Każde z nich miało własny pokój. Oboje byli około siedemdziesiątki albo jeszcze starsi. Mimo to potrafili się cieszyć z życia — w dumny sposób, oczywiście. Brzmi to wrednie, ale nie mam na myśli nic złego. Chcę tylko powiedzieć, że dużo myślałem o Spencerze, a gdy człowiek za dużo o nim myślał, zaczynał się zastanawiać, czy taki staruszek ma jeszcze po co żyć. No bo był już przygięty do ziemi, zgarbiony okropnie, a kiedy podczas lekcji upuścił pod tablicą kredę, ktoś z pierwszej ławki musiał się zrywać i mu ją podawać. Ja na miejscu takiego Spencera czułbym się paskudnie. Ale jeśli się zastanowić nad tym tyle, ile trzeba, nie za dużo, można dojść do wniosku, że wcale tak źle mu się nie żyło. Na przykład którejś niedzieli, gdy wybraliśmy się do niego z chłopakami na gorącą czekoladę, pokazał nam stary, wysłużony pled indiański, który kupił z żoną od jakiegoś Navajo

w parku Yellowstone. Widać było, że staruszek był tym zakupem bardzo podekscytowany. I o to właśnie mi chodzi. Nawet ktoś tak okropnie stary jak Spencer może mieć frajdę z tego, że kupił sobie pled.

Drzwi były otwarte, mimo to lekko zapukałem, bo inaczej byłoby jakoś głupio. Zobaczyłem go od razu. Siedział w wielkim skórzanym fotelu, opatulony pledem, o którym przed chwilą wspomniałem. Spojrzał na mnie, gdy zapukałem.

— Kto tam?! — zawołał. — To ty, Caulfield? Wejdz, chłopcze.

Jak zwykle poza klasą mówił za głośno. Czasami było to wkurzające.

Gdy do niego wchodziłem, przez chwilę pożałowałem, że w ogóle przyszedłem. Spencer czytał „Atlantic Monthly”, pokój zastawiony był lekarstwami w rozmaitych buteleczkach i fiolkach, a śmierdziało w nim jak w aptece. Nie poprawiło mi to humoru. Poza tym nie przepadam za chorymi. Jeszcze bardziej zdołował mnie widok Spencera w tym smutnym, wytartym szlafroku, w którym chyba musiał się urodzić. Nie bardzo lubię oglądać staruszków w piżamach czy szlafrokach. Spod rozchylonych poł widać ich cherlawe torsy. I nogi. Nogi starych ludzi, na plaży czy gdzie indziej, zawsze są strasznie blade i łyse.

— Dzień dobry panu — powiedziałem. — Dostałem pana list. Wielkie dzięki.

Przekazał mi wiadomość, żebym wpadł do niego i po-

żegnał się przed wyjazdem na ferie, zwłaszcza że miałem już nie wracać.

— Nie musiał pan pisać. I tak bym przyszedł się pożegnać.

— Siądź sobie tu, chłopcze — powiedział Spencer. Wskazał łóżko.

Usiadłem.

— Jak z pana grypa, panie profesorze?

— Mój chłopcze, gdybym czuł się choć trochę lepiej, musiałbym chyba wezwać lekarza — odparł Spencer. Okropnie go to rozbawiło. Zaczął chichotać jak czubek. W końcu wyprostował się i powiedział: — Dlaczego nie jesteś na meczu? To chyba dziś ten wielki dzień.

— O tak. Byłem tam. Ale dopiero co wróciłem z Nowego Jorku z drużyną szermierzy — wyjaśniłem. O rany, to łóżko było jak z kamieni.

Spencer nagle cholernie spoważniał. Wiedziałem, że tak będzie.

— A więc opuszczasz nas, co? — zagaiał.

— Tak, panie profesorze. Na to wygląda.

Zaczął w swoim stylu kiwać głową. Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by tyle co Spencer kiwał głową. Nigdy nie wiadomo było, czy kiwa nią, bo jest pogrążony w myślach, czy dlatego, że jest już z niego staruszek i nie bardzo wie, co się wokół niego dzieje.

— Co ci powiedział pan Thurmer, chłopcze? Rozumiem, że odbyliście dłuższą rozmowę.

— No. To prawda. Siedziałem u niego w gabinecie ze dwie godziny.

— I co ci powiedział?

— Och... no, że życie to gra i takie tam. Że powinno się przestrzegać w nim zasad jak podczas gry. Starał się być przy tym miły. To znaczy, nie wymądrzał się ani nic z tych rzeczy. Po prostu ciągle powtarzał, że życie jest grą i tak dalej. No wie pan.

— Bo życie jest grą, chłopcze. Grą, podczas której każdy musi przestrzegać zasad.

— Wiem, panie profesorze. Rozumiem. Naprawdę rozumiem.

Gra, a niech mnie! Jaka gra? Jeśli jest się w drużynie mistrzów, to owszem, można grać — niech będzie. Ale jeśli w przeciwnej, gdzie nie uświadczy się ani jednego zawodnika z prawdziwego zdarzenia, to co to za gra? Żadna. Szkoda gadać.

— Czy pan Thurmer powiadomił już twoich rodziców? — zapytał Spencer.

— Powiedział, że napisze do nich w poniedziałek.

— A ty się z nimi skontaktowałeś?

— Nie, panie profesorze, bo pewnie zobaczę się z nimi już w środę, po powrocie do domu.

— I jak przyjmą tę wiadomość?

— No... chyba się trochę wkurzą — odparłem. — Nawet na pewno. To już moja czwarta szkoła. — Pokręciłem głową. Często tak robię. — O rany!

„O rany” też mówię za często. Częściowo dlatego, że

mam zaśmiecony język, a częściowo dlatego, że czasami zachowuję się dość dziecinnie. Miałem wtedy szesnaście lat — teraz mam siedemnaście — a zachowywałem się czasami jak trzynastolatek. Robi to śmieszne wrażenie, bo mam sześć stóp i dwa cale wzrostu, a do tego siwe włosy. Nie bujam. Po jednej stronie głowy — prawej — rośnie mi mnóstwo siwych włosów. I to od dzieciństwa. Mimo to czasami zachowuję się jak dwunastoletni gówniarz. Wszyscy tak mówią, a już zwłaszcza mój ojciec. Jest w tym trochę prawdy, ale nie cała. A ludziom zawsze się wydaje, że znają całą prawdę. Mam to gdzieś, tylko nudzi mnie, gdy słyszę, że powinienem zachowywać się poważniej. Czasami zachowuję się poważnie jak na swój wiek — nie zalewam — ale nikt tego jakoś nie zauważa. Ludzie w ogóle mało co zauważają.

Spencer znowu zaczął kiwać głową. I dłubać w nosie. Z początku udawał, że niby go tylko podszczypuje, ale tak naprawdę wetknął w jedną dziurkę prawy kciuk. Chyba uznał, że nie ma się co krępować, bo byliśmy sami w pokoju. Nie przeszkadzało mi to specjalnie, tylko że to dość obrzydliwy widok, jak ktoś dłubie sobie w nosie.

Potem powiedział:

— Miałem przyjemność poznać twoich rodziców, gdy przed paroma tygodniami przyjechali, żeby porozmawiać z panem Thurmerem. To wspaniali ludzie.

— Fakt. Są w porządku.

Wspaniali. Nienawidzę tego słowa. Jest dęte i tyle. Rzygać mi się chce za każdym razem, gdy je słyszę.

Nagle Spencer zrobił taką minę, jakby miał mi do powiedzenia coś strasznie mądrego, jakąś przenikliwą jak diabli uwagę. Wyprostował się w fotelu i jakby lepiej usadowił. Był to jednak fałszywy alarm. Staruszek uniósł tylko „Atlantic Monthly” z kolan i próbował rzucić pismo na łóżko, tuż koło mnie. Oczywiście nie trafił. Chybił tylko o dwa cale, ale chybił. Wstałem więc, podniosłem je i odłożyłem na łóżko. I nagle poczułem wielką ochotę, żeby dać stamtąd dyla. Czułem, że zanosi się na paskudny wykład. Nie przerażało mnie to tak bardzo, tylko nie byłem w nastroju, żeby jednocześnie słuchać wykładu, wdychać smród kropli do nosa i patrzeć na starego Spencera w piżamie i szlafroku. Za dużo tego jak dla mnie.

Ale już się zaczęło.

— Co się z tobą dzieje, chłopcze? — zapytał Spencer. Powiedział to jak na niego ostrym tonem. — Ile miałeś przedmiotów w tym semestrze?

— Pięć, panie profesorze.

— Pięć. A ilu nie zaliczyłeś?

— Czterech. — Przesunąłem się odrobinę na łóżku. Jeszcze nigdy na czymś tak twardym nie siedziałem. — Ale zaliczyłem angielski — dodałem — bo ten cały materiał, *Beowulfa* i *Lorda Randalla*, przerabiałem już w Whooton. Nie musiałem za bardzo się wysilać, od czasu do czasu miałem tylko do napisania jakiegoś wypracowanie.

Ale on nawet nie słuchał. Rzadko zdarzało mu się słuchać, gdy coś się do niego mówiło.

— Oblałem cię z historii, bo kompletnie nic nie umiałeś.

— Wiem, panie profesorze. O rany, wiem. Nie miał pan wyjścia.

— Kompletnie nic — powtórzył. Doprowadza mnie to do szału — gdy ludzie powtarzają coś po dwa razy, choć już za pierwszym razem przyznałeś im rację. A Spencer powtórzył po raz trzeci: — Naprawdę kompletnie nic. Bardzo wątpię, żebyś choć raz w całym semestrze zajrzał do podręcznika. Zajrzałeś? Tylko mów prawdę, chłopcze.

— No, parę razy zajrzałem. — Nie chciałem sprawić mu przykrości. Miał świra na punkcie historii.

— Czyżby? — odparł z sarkazmem. — Twoja praca semestralna leży tam na szafce. Podaj mi ją, proszę.

To było podle zagranie z jego strony, ale wstałem i przyniosłem mu tę pracę — nie miałem wyboru. Potem znowu usiadłem na tym kamiennym łożu. Rany, nie możecie sobie wyobrazić, jak żałowałem, że wpadłem do niego się pożegnać.

Wziął te kartki, jakby były ubabrane gównem czy czymś takim.

— Dzieje starożytnych Egipcjan omawialiśmy od czwartego listopada do drugiego grudnia — stwierdził. — Wybrałeś je sobie sam jako temat eseju. Chcesz posłuchać, co miałeś do powiedzenia?

— Nie, panie profesorze, nie za bardzo — odparłem.

Ale on i tak mnie tym uraczył. Nie ma siły na nauczyciela, gdy już się na coś zaważmie. Taki nie popuści, choćby nie wiem co.



„Egipcjanie byli starożytną rasą kaukaską, zamieszkującą północny rejon Afryki. Ta ostatnia, jak wiemy, stanowi największy kontynent półkuli wschodniej”.

Musiałem tam siedzieć i słuchać tych bzdur. To było naprawdę wredne zagranie.

„Starożytni Egipcjanie są dziś dla nas niezwykle interesujący z różnych powodów. Współczesna nauka wciąż dąży do poznania tajemniczych substancji, których używali przy owijaniu zwłok, tak że twarze zmarłych nie uległy rozkładowi przez niezliczone stulecia. Ta intrygująca zagadka jest wyzwaniem dla współczesnej nauki jeszcze w dwudziestym wieku”.

Spencer skończył czytać i odłożył moją pracę. Zaczęło we mnie kiełkować coś w rodzaju niechęci do niego.

— I twój esej, nazwijmy go tak, na tym się kończy — zauważył tym swoim strasznie sarkastycznym tonem. Kto by pomyślał, że człowieka w tym wieku stać jeszcze na taki sarkastyczny ton. — Jednak u dołu strony napisałeś do mnie liścik — dodał.

— Tak, wiem. — Powiedziałem to pośpiesznie, bo nie chciałem, żeby i to odczytał na głos. Ale on już nie odpuścił. Nabrał rozpędu jak rakieta kosmiczna po wystrzeleniu.

„Szanowny Panie Profesorze! — przeczytał głośno. — To wszystko, co wiem o starożytnych Egipcjanach. Nie zaciekawili mnie zbytnio, chociaż Pańskie wykłady są bardzo interesujące. Jeśli mnie Pan obleje, to trudno, bo i tak zawałem już wszystkie przedmioty, poza angielskim. Z poważaniem — Holden Caulfield”.

Odłożył tę moją zasraną pracę i spojrział na mnie, jakby właśnie spuścił mi łupnia w ping-ponga czy coś w tym stylu. Chyba nigdy mu nie daruję, że zmusił mnie do wysłuchania tych bredni. Gdyby to on coś podobnego wysmarował, nie odczytałbym mu tego na głos — słowo daję. Przede wszystkim napisałem ten cholerny list, żeby nie miał wyrzutów, gdy będzie mi stawiał dwóję.

— Masz do mnie pretensje, że nie dałem ci zaliczenia, chłopcze? — zapytał.

— Ależ nie, panie profesorze! Skąd — odparłem na to. O rany, żeby tylko przestał mówić do mnie bez przerwy „chłopcze!”.

Rzucił moją pracę na łóżko, gdy już przestała mu być potrzebna. Tylko że oczywiście znowu nie trafił. Musiałem po raz kolejny wstać; podniosłem ją i odłożyłem na „Atlantic Monthly”. Człowiek może się znudzić, kiedy robi to samo co dwie minuty.

— A jak ty byś postąpił na moim miejscu? — spytał. — Tylko szczerze, chłopcze.

Staruszek naprawdę przejął się tym, że musiał mnie oblać, to było jasne. Więc zacząłem mu wstawiać kit. Powiedziałem, że kretyn ze mnie i tak dalej. Że na jego miejscu zrobiłbym to samo i że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak ciężko jest być nauczycielem. Takie tam frazesy. Drętwa mowa.

Najśmieszniejsze jednak, że wstawiając ten kit, przeniósłem się myślami gdzie indziej. Mieszkam w Nowym Jorku i przypomniałem sobie o jeziorku w Central Parku,

w południowej części. Zacząłem się zastanawiać, czy będzie jeszcze zamrznięte, kiedy wrócę do domu, a jeśli tak, to gdzie podziały się kaczki. Myślałem więc o kaczkach, gdzie się podziewają, gdy jeziorko jest pod lodem, całe zamrznięte. Ciekaw byłem, czy ktoś przyjeżdża po nie ciężarówką i zabiera je do zoo czy gdzieś indziej. Albo czy dokądś odlatują.

Swoją drogą farciarz ze mnie. Mam na myśli to, że potrafiłem wciskać kit Spencerowi i jednocześnie myśleć o kaczkach. Niezły ubaw. Podczas rozmowy z nauczycielem nie trzeba się specjalnie wysilać. Jednak nagle Spencer przerwał tę moją gadkę. Ten facet zawsze wszystkim przerywał.

— A co ty sam sądzisz o całej sprawie, chłopcze? Bardzo jestem ciekaw. Bardzo ciekaw.

— Ma pan na myśli wyrzucenie z Pencey i tak dalej? — zapytałem. Wolałbym, żeby przysłonił sobie tę sflaczałą pierś. Przykro było na nią patrzeć.

— Jeśli się nie mylę, miałeś także pewne trudności w Whooton School i Elkton Hills. — Powiedział to nie tylko sarkastycznie, ale i uszczypliwie.

— Nie miałem szczególnych trudności w Elkton Hills — odparłem. — Nie wyrzucili mnie stamtąd ani nic z tych rzeczy. Po prostu odszedłem, tak jakby.

— Mogę zapytać dlaczego?

— Dlaczego? Och, to długa historia, panie profesorze. To znaczy, dość zawiła. — Nie miałem ochoty tłumaczyć mu wszystkiego od początku. I tak by nie zrozumiał. Jest

z tych, co nie chwytają pewnych rzeczy. Jednym z głównych powodów mojego odejścia z Elkton Hills było to, że wylądowałem wśród samych pozerów. Chyba wystarczy. Wszystko robili na pokaz. Choćby dyrektor, pan Haas — większego pozera w życiu nie spotkałem. Był dziesięć razy gorszy niż stary Thurmer. Na przykład w niedzielę przechadzał się po szkole i witał serdecznie ze wszystkimi rodzicami, którzy przyjechali do synów w odwiedzin. Czarował ich, że hej. Chyba że rodzice któregoś z chłopaków wydali mu się podstarzali czy śmieszni. Trzeba było widzieć, jak odnosił się do starych mojego kumpla z pokoju. Jeśli czyjaś matka była przy kości czy kiepsko ubrana, a ojciec należał do tych, co to noszą marynarki z wywatowanymi ramionami i badziewne czarno-białe buty, Haas ledwie raczył im podać rękę, uśmiechał się sztucznie i leciał dalej, żeby bajerować, nawet przez pół godziny, rodziców kogoś innego. Nie znoszę takich numerów. Szlag mnie trafia. Tak mnie to wpienia, że dostaję szału. Nie cierpiałem tej durnej szkoły.

Spencer w międzyczasie zadał mi jakieś pytanie, ale nie dosłyszałem. Myślałem wciąż o Haasie.

— Słucham, panie profesorze? — zapytałem.

— Czy z jakichś konkretnych względów ciężko ci będzie odejść z Pencey?

— Och, z kilku na pewno. Jasne... ale bez przesady. Jeszcze to do mnie nie dotarło. Wszystko dociera do mnie z opóźnieniem. Teraz myślę tylko o tym, że w środę będę już w domu. Taki już kretyn ze mnie.

— Zupełnie nie martwisz się o swoją przyszłość, chłopcze?

— No, trochę się martwię, jasne. Pewnie że tak. — Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. — Ale chyba nie tak bardzo. W sumie nie bardzo.

— Jeszcze przyjdzie na to czas — orzekł Spencer. — Przyjdzie, chłopcze. Ale wtedy będzie już za późno.

Nie podobało mi się, że tak do mnie mówił. Jakbym już zszedł z tego świata czy co. Zdołował mnie do reszty.

— Pewnie ma pan rację — powiedziałem.

— Chciałbym ci przemówić do rozumu, chłopcze. Próbuję ci pomóc, jak tylko potrafię.

Mówił szczerze. Czuję to. Tylko że byliśmy jakby na przeciwległych biegunach i tyle.

— Wiem, panie profesorze — odparłem. — Bardzo dziękuję. Mówię serio. Doceniam to. Naprawdę. — Wstałem. O rany, nie usiedziałbym tam dziesięciu minut dłużej, nawet gdyby to była kwestia życia lub śmierci. — A teraz muszę już lecieć. W sali gimnastycznej mam jeszcze sporo rzeczy do zabrania przed wyjazdem.

Popatrzył na mnie i znowu zaczął kiwać głową — z bardzo poważną miną. Nagle zrobiło mi się go okropnie żal. Ale nie mogłem dłużej tak stać; przecież byliśmy na przeciwległych biegunach i w ogóle, staruszek nigdy nie trafiał, kiedy rzucał coś na łóżko, siedział w tym żalonym starym szlafroku z odkrytą piersią. No i w całym tym zagryzionym pokoju zajeżdżało kroplami do nosa.

— Panie profesorze. Niech pan się mną nie przejmu-

je — powiedziałem. — Mówię poważnie. Poradzę sobie. Przechodzę teraz gorszy okres. Każdy ma kiedyś gorszy okres, prawda?

— Nie wiem, chłopcze. Nie wiem.

Nienawidzę takich odpowiedzi.

— Ależ tak. Pewnie że tak — mówiłem. — Naprawdę, proszę się o mnie nie martwić. — Nawet położyłem mu rękę na ramieniu. — Obiecuje pan? — zapytałem.

— Nie napiłbyś się jeszcze gorącej czekolady? Pani Spencer byłaby...

— Chętnie bym się napił, naprawdę, ale pora już na mnie. Muszę iść do sali gimnastycznej. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Uścisnęliśmy sobie ręce. I tak dalej. Zrobiło mi się smutno jak cholera.

— Napiszę do pana. Niech się pan profesor wykuruje z tej grypy.

— Do widzenia, chłopcze.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem do salonu, zawołał jeszcze coś do mnie, ale nie dosłyszałem co. Jestem prawie pewien, że to było: „Powodzenia!”. Ale mam nadzieję, że się mylę. Strasznie chciałbym się mylić. Ja tam za nikim bym nie wrzeszczał: „Powodzenia!”. To strasznie dołujące, jak się nad tym zastanowić.